

— Więc nie zwlekajmy — westchnął Kola, myślar o niecierpliwości Wandy.

Adwokat szczupły, szpakowaty blondyn, był w dniu targowym bardzo zajęty, ze względu jednak na wygląd nowoprzybyłych, przyjął ich zaraz mimo czekających swej kolei chłopów i żydów.

— Przyjechaliśmy z Warszawy — zaczął Władysław, po załatwieniu formalności wstępnych — w sprawie Landwerowa...

— A, wiem już, wiem, — zawołał adwokat, pocierając łysinę i nerwowym ruchem wziął akta złożone w starej tekturze z napisem Landwerowo. Przerzucił kilka kartek i nie podnosząc oczu mówił: — To sprawa z firmą bankierską — wymienił nazwisko.

— Tak jest — potwierdził ucieszony Władysław — prócz tego idzie o dług prywatny.

— Rabinowicza — przerwał adwokat.

— Właśnie... otóż prosiłbym pana mecenas o wyjaśnienie, czy przy licytacji te długi.

— Spadną — dodał adwokat niecierpliwie — możecie panowie uspokoić swych mocodawców, że na razie licytacja nie dojdzie do skutku... Czy mogę czem więcej panom służyć?

— Dziękujemy — rzekł Władysław, składając honorarium adwokata.

Gdy byli na ulicy, uśmiechnął się Kola, mówiąc:

— Poszczęściło ci się.

— Gdyby i reszta — westchnął Władysław.

— Gdzież nasz zajazd? — spytał Kola.

— Ten dom narożny.

Wkrótce weszli do wielkiej wjazdowej sieni i natychmiast dwaj faktorzy narzucili się im natarczywie ze swemi usługami.

Władysław odrzucił dość szorstko ich propozycje, a na wszczyt hałas otworzyły się boczne drzwi i wychyliła się główka Wandy.

— Nareszcie jesteście panowie — zawołała ucieszona, — czy załatwiście wasze sprawy?

— Daleko do końca — zaśmiał się brat — mamy odbyć konferencję.

Zaledwie weszli do pokoju, gdy odezwało się ostre pukanie do drzwi i wszedł strażnik z miną surowego władcy.

— Wasze pasporty? — zwrócił się do dwóch mężczyzn.

Bal i Kola podali swoje, a strażnik zwrócił się do Wandy:

— Nu, a wasz?

— Ta pani tntejsza, pasportu niema — objaśnił brat.

— *Ja was nie spraszam* — rzekł z dumną obojętnością — *wasz pasport?* postąpił krok ku Wandzie.

Wówczas Władysław ostro zadzwonił, a zwracając się do wchodzącego gospodarza dodał:

— Zechciej pan wytłumaczyć strażnikowi, że ta pani jest siostrą pani Żegielskiej i pasportu nie potrzebuje.

— Panie strażnik — zaczął żyd gospodarz — przecież i pan zna tę panią i ja... ona nasza, z naszego powiatu, to od pana Żegielskiego, czy pan go nie zna?

— *Matczy jurej, eto nie twoje dzieło* — krzyknął strażnik groźnie.

— Jakto nie moje dzieło? — zawołał gospodarz — *ja huziujin hotelu*. Ja odpowiadam za gości! — i podszedłszy do drzwi, zawołał do czekającego parobka: Nu stangret od pana Żegielskiego, chodźcie tutaj — powiedzcie sami, kto ta pani?

— Nasza panienska ze dworu.

— Nu, panie strażnik, czyja prawda?

Widok stangreta w liberyi stropił trochę urzędową osobę, zaczął więc już łagodniej:

— *Eto żeńszczina, prawda, no wsio takie pasport nužen*.

— *Czy u was jest prikaz?* — spytał Kola ostro.

— *Nu, prikaza niet, a wsio taki pasport...*

— Panie strażnik — wmieszał się gospodarz — chodź pan na słówko... ja odpowiadam za tę panią, ona nie wyjedzie, póki pan nie wróci... chodź pan.

Już strażnik zwrócił się ku drzwiom, gdy Władysław zawołał:

— Proszę o nasze pasporty... dziś wyjeżdżamy.

— *Pasporty nužno predjawił gaspadinu naczelniku*.

— *Wy nie w prawie* — zaczął Kola.

— *Nie rozsuzdżat gaworiu!* — krzyknął strażnik — *a nie, to w arrest*.

— Niech się panowie nie boją -- uspokajał gospodarz — on przyniesie, już ja się postaram o to.

— Przyniesie jutro, — rzekł podrażniony Władysław — a ja dziś wyjeżdżam. Strażnik niema prawa zabierać pasportów do siebie. Oddaj pan zaraz! — postąpił ku niemu.

— *Prikaz pravitelstwa, poniali?* — zawołał strażnik z miną srogą — *uwidim nie użeli wy socylist, rewolucyoner ili kak zowul etich sukin synów*.

— Chodźmy do naczelnika — zaproponował Kola.



Matczy jurej, eto nie twoje dzieło...

— *Nie lża, gaspadin naczelnik nie prynimajet postoronnych lic*.

— To jednak jest nadużycie — wybuchnęła Wanda — prosty gwałt.

— *Matczut i nie rozsuzdżat... eto prikaz pravitelstwa*.

Wyszedł wraz z gospodarzem, który zjawił się wkrótce w pokoju z miną zakłopotaną.

— Myślałem, że odda pasporty, ale to przykaz samego naczelnika... Oci teraz tak się boją, że każdy obcy to dla nich rewolucyoner, a ja znam, że panowie porządni ludzie, nie żadni socjaliści.

— Kiedyż przyniesie? — spytał Władysław.

— Może za godzinę, może za dwie, kto ich wie — westchnął — teraz takie ciężkie czasy.

Kola rozmawiał z Wandą, żartując z przygody.

— Wrócimy wcześniej do domu, a jutro odbierzcie pasporty — rzekła Wanda.

— Tak nie idzie, wielmożna panienska — zwrócił się żyd do Wandy — państwo musicie tu czekać, ja dałem porękę strażnikowi, że nie wyjdziecie. I po co jechać, żeby złapać innego strażnika? na co to? Tu państwu będzie wygodnie, może dla wielmożnej panienski dać inną stancję, u mnie

jest, czy mam otworzyć? — wskazał na przyległy pokój.

— Zobaczmy później, — rzekł Władysław, a widząc, że gospodarz chce rozprawiać, dodał — do widzenia panna.

Po jego wyjściu zwrócił się do milczących:

— A to awantura!... Ja muszę iść — spojrzał w oczy Koli — ty zostań z Wandą... aby nie zwracać uwagi.

— Idź Władku, a my przejdziemy się po mieście. Te rzeczy — wskazała na pled — najlepiej oddać stangretowi do powozu, znam go, to bezpieczny człowiek.

Strażnik Wańka, dumny ze swej służbistości, szedł miarowym krokiem do naczelnika i wyprostowany zameldował o rezultacie, podając wzięte pasporty. Zamilczał jednak o Wandzie, obawiał się bowiem, że naczelnik domyśli się brzęczącej łagodności w sprawie jej pasportu.

Naczelnik nałożył okulary, odczytał obojętnie pasport Balkowskiego, lecz gdy dojrzał nazwisko Czerniejewa na drugim pasporcie, nachmurzył się i zawołał gniewnie:

— Nadia!

Nie mówiąc nic do nadchodzącej córki, podał z odcieniem grozy pasport Koli i swe wielkie, okrągłe, niebieskawe oczy utkwili w rozlaną twarz córki.

Spostrzegła to spojrzenie i składając pasport mówiła obojętnie:

— Nu, Czerniejew, wielka historia.

— Czy ty z rozumu obrana? — zawołał ojciec gniewnie — toż syn gubernatora wojennego, rozumiesz?

— *Papusza*, ty spełniłeś swój obowiązek.

— Obowiązek?! — przedrwiwał z gorzkim uśmiechem — ach, *dar-na*, pomyśl tylko, on się postarzą ojen, ten pójdzie do generałgubernatora z dokładem... i co ja nieszcześnie zrobiłem, a wszystko przez ciebie.

— Głupstwo — wzruszyła ramionami — jako naczelnik byłeś w prawie.

— Zwaryowałaś, czy co, — zaprzeczył się z gniewu — co innego jakiś tam Polaczek, czort go bierz, kpię sobie ze skargi... ale nasz?! ale ruski?! i do tego syn takiej osoby!... Żeby chociaż ten dureń Wańka był grzeczny.

Nie czekając odpowiedzi poszedł do przedpokoju i kazał szczegółowo powtórzyć sobie sprawę odebrania pasportów.

Strażnik, dumny ze swej działalności, przesadził nawet cokolwiek w opowieści o swej bezwzględności w spełnieniu rozkazu, a w zamian otrzymał bardzo ostrą nagane, przepłatana kłótniami.

— To ty, skatina, nie słyszałeś, że zawsze polecam grzeczne obchodzenie, ach, swólczech przekłeta, warto ci dać bary, sto nahajów za mało, nie pokazuj mi się na oczy sukinynie — i dalej grzmiał gniewny głos naczelnika, a struchlały Wańka stał wyprężony, nie rozumiejąc zgoła w czym zawinił.

Zasapany wrócił naczelnik z przedpokoju i z pasyą rzucił pasporty na stół.

— Nawarzyłaś piwa, to i pij! — zawołał do córki — a gdybyś wiedziała, jak ten dureń Wańka zachowywał się!

— Ani wy *papusza*, ani ja nie odpowiadamy za chamsstwo strażnika... Odeszły pasporty, przeprosi się i koniec.

— Nu, tak się to i mówi... poszłę Wańkę, tak gorzej będzie... tu trzeba politycznie, grzecznie... ot po enropejsku — kończył naczelnik, uważając ostatnie słowo za wykwinnt dobrego tonu.

— A gdyby tak posłać Wasyla Wasyliewicza — poradziła Nadia, mając na myśli podwładnego ojca.

— Nu, nie zła myśl — i natychmiast posłał Wańkę po Wasyla Wasyliewicza.

— Ot, wam sprawa nieszczególna, — odezwał się do wchodzącego — ten dureń Wańka źle pojął służbę swoją. Zabrał pasporty ludziom porządnym.

(Ciąg dalszy nastąpi).